POWROTY cz. III Genua – Sanremo – Bonifacio – Civitaveccia

Nie wiem, czy jestem odpowiednią osobą do pisania relacji z rejsu, tak naprawdę nie wiem też do kogo piszę, dlatego jedyne, co mi pozostaje to określić cel tego całego tekstu. Przede wszystkim muszę powiedzieć, że nie jestem w stanie opisywać po kolei wszystkiego, co dzieje się na statku, każdego portu i koloru wody, o każdej porze dnia, to zdecydowanie nie jest moim celem, mam wrażenie, że nie tego się też ode mnie oczekuje. Szeroko pojmując sens tych kartek, które zapewne zapiszę, mają one wprowadzić w morze, a przynajmniej dawać jakiekolwiek o nim pojęcie. To trudne zadanie…

Mam nadzieję, że nikt nie spodziewa się w tej relacji obiektywizmu , zresztą uważam, że opisywanie zdarzeń jest tak naprawdę jej podrzędną rolą, nam wszystkim chodzi przecież głównie o odczucia, przeżycia, doświadczenia, które wzbogacają każdą istotę o wiele bardziej niż ciąg powiązanych ze sobą wydarzeń. To nie był mój pierwszy raz na Pogorii, nie był też ostatni, bo pewne jest, że istnieją ludzie, którzy po prostu muszą wracać na morze. Nie mam pojęcia z czego to wynika, ale widząc znajomy zarys Pogorii przy kei w Genui, czyli dokładnie tam gdzie rozstawałam się z nią w tamtym roku, czułam się jakbym wracała do siebie. Wiem, że ludzie na ogół denerwują się przed wejściem na pokład, ilość lin, żagli i ciasnota koi troszkę ich przeraża, ale widok znajomych twarzy całkiem zdusił uczucie pierwszego szoku po powrocie. Warto w tym miejscu przybliżyć trochę zawiłość tkwiącą w znajomościach między ludźmi morza (nazywam tak w uogólnieniu wszystkich tych, którzy muszą wracać). Często nie trzeba wiele czasu na pokładzie, nie trzeba wielu słów, żeby w trakcie morskiej rutyny znaleźć w innych ludziach o wiele większe oparcie, niż można sobie wymarzyć na lądzie. Ścisła hierarchia i wypełniony pracą czas nie daje dużo możliwości na wzajemne poznawanie się, dlatego w wielu przypadkach z góry zakłada się, że jesteśmy godni swojego zaufania. W rejsach szkolnych mamy to szczęście, że znamy się z lądu, a i tak morze weryfikuje całą naszą wiedzę o drugim człowieku, wyolbrzymia lub spłyca jego wady, nadaje subtelnego wydźwięku zaletom. Ludzie mi znani, których spotykam na pokładzie, są zwykle starsi, bardziej doświadczeni, wyżej postawieni w morskiej hierarchii, członkowie załogi stałej (mechanik, kuk, bosman), oficerowie lub kapitanowie. Jednak szacunek na morzu jest czymś tak naturalnym, że niczego właściwie nie zmienia, dlatego nie jest przeszkodą dla ciepłej życzliwości. Morze to nie biznes, praca, szkoła, walka o pozycje społeczną, dlatego rozmowa z dawnym kapitanem, którego właściwie wcale się nie zna, przypomina rozmowę ze starym dobrym znajomym, nawet gdy nie rozmawiało się z nim prawie w ogóle na morzu. Te wymiany załóg mają w sobie jakąś magię. Zawsze towarzyszy im leciutki żal, bo niektórzy nie będą nam towarzyszyć na rejsie, ale i ciekawość towarzysząca spotkaniu nowych ludzi związanych równie mocno z morzem i tych, którzy będą je poznawać po raz pierwszy. Na tym rejsie znałam już kpt. Trzaskę, z czasów gdy był drugim oficerem i bosmana Sylwka, który w moich wspomnieniach jest jeszcze kukiem. Rozmawiałam z nimi bardzo mało, ale to kolejna cecha znajomości wyłącznie morskich, choć na pewno są od tego wyjątki. Osobiście, z całą moją byłą załogą, z którą pływałam najdłużej spotkałam się tylko dwa razy na lądzie i moje zdanie o nich całkowicie się zmieniło. Dlatego cieszę się, że mogę żeglować również z ludźmi, których znam od codziennej strony, a morze po prostu bezstronnie poznaje mnie z ich drugą naturą. Wierzę, że takie przyjaźnie są najpełniejsze, choć nie brakuje osób, których zwyczajnie nie możemy poznać z ich morskiej strony.

Zbiorem ludzi, których poznaje się najlepiej i ma się z nimi do czynienia cały czas jest wachta. Na Pogorii są cztery. Miałam to szczęście, że połowa mojej wachty była z mojej klasy. To jest właśnie magia rejsów szkolnych. Dużo zależy od tego czy wachta jest zgrana, czy jej członkowie są dla siebie wsparciem, czy zależy im na wspólnym przeżyciu przygody, czy są tu tylko po to by odpocząć i nie chodzić przez 10 dni do szkoły. Odpoczynek to bardzo ważna część rejsów szkolnych, ale oprócz tego życie na statku wymaga zaangażowania. Warunki nie były tym razem wcale wymagające, prawie nie wiało i właściwie nikt nie miał choroby morskiej, a i tak byłam w niektórych momentach wyczerpana. Myślę, że wracają osoby, które są na to przygotowane i nie boją się podejmować odpowiedzialnych zadań, tworzyć załogę, być częścią siły napędzającej statek. To wymaga odwagi, chęci, i gotowości do współpracy z wachtą, która ma być dla siebie nawzajem przede wszystkim oparciem. Na statku załoga szkolna steruje, prowadzi obserwacje, prowadzi dziennik pokładowy, rysuje pozycje na mapie, stawia i zwija żagle, gotuje obiad i sprząta, wykonuje wszystko to, co stanowi o życiu na statku. Na tym rejsie mieliśmy oprócz tego możliwość uczenia się nowych rzeczy podczas organizowanych wykładów dotyczących teorii żeglowania, astronawigacji, pływów, świateł sygnalizacyjnych na morzu. Z uwagi na brak wiatru poruszaliśmy się w ślimaczym tempie i zobaczyliśmy bardzo mało portów, z których każdy był mi już znany. Ale, jak powszechnie wiadomo, marynarz nie jest turystą, albo nie jest tylko turystą, dlatego zwiedzanie portów bywa mniej ważne od samego żeglowania, od atmosfery panującej na pokładzie, często połączonej z ciężką pracą, niewyspaniem i zmęczeniem, która jest o tyle piękna, że daje człowiekowi szansę na poznanie własnych możliwości, pokonanie lęków i sprawdzenie się we współpracy z innymi. Dzięki czasowi spędzonemu razem na morzu mieliśmy okazję skupić się na integracji ze sobą i zaowocowało to faktycznie pięknie. Ostatnią noc całą przetańczyliśmy na kei a w Civitavecci – ostatnim porcie, mimo złej pogody bawiliśmy się świetnie włócząc się po niezbyt atrakcyjnym mieście, grając w piłkę i wymyślając rożne zabawy, żeby tylko urozmaicić sobie te ostatnie chwile wyjazdu. Jeśli mówimy już o portach, to na każdym rejsie są one miłą odmianą od morskiej rutyny. Niestety tym razem w Sanremo spędziłam tylko godzinę, w ciągu której zdążyłam wbiec po krętych, wąskich uliczkach, by zobaczyć Santoario della Maria della Costa i zbiec rzucając okiem na ogromne drzewo figowe, a przynajmniej na to wyglądało, wciśnięte pomiędzy portowe, włoskie, zaniedbane kamienice. Najpiękniejszym portem było zdecydowanie Bonifacio na Korsyce. Niestety tu też mieliśmy mało czasu, ale przynajmniej wyszło słońce i mogliśmy podziwiać miasto wyrastające wręcz ze skały, a nawet pomoczyć nogi w wodach skalistych zatoczek. Najbardziej znanym zabytkiem są tam koszary Legii Cudzoziemskiej, ale w porównaniu chociażby z cmentarzem, który jest w gruncie rzeczy małym miasteczkiem, albo widokami z murów okalających wybrzeże, nie olśniewa. Do Sanremo wpłynęliśmy drugiego dnia żeglugi, do Bonifacio piątego i dwa dni później już Civitaveccia. To najkrótszy z moich rejsów, nie pod względem ilości dni, ale tempa w jakim czas dosłownie przelatywał mi przez palce. Próbowaliśmy chłonąć atmosferę morza o każdej porze, przez co spaliśmy bardzo mało, mimo że na statku ogólnie brakuje snu, w związku z tym wracaliśmy do domu zmęczeni, w taki niesamowity sposób, który sprawia, że myśli są wypoczęte i to one wlewają energię w obolałe z wysiłku ciało. Mogłabym pisać jeszcze wiele o tym jak wygląda podział na wachty, o hierarchii, o tym jakie jest morze i czego uczy, ale ten króciutki rejs nie jest wystarczającym podkładem pod ogrom tych wszystkich przemyśleń. Jedno jest pewne – morze skłania do myślenia, rozważania własnych wartości, kontemplowania nielicznych chwil samotności, tak bardzo pożądanych na małej przestrzeni pokładu, a oprócz tego daje nam możliwość odkrywania siebie, innych ludzi w sposób, o jakim na lądzie nie pomyślelibyśmy nawet, że jest możliwy. Kiedyś mówiłam rodzicom, że jadę na morze, żeby wwiało mi trochę soli do głowy… Nawet teraz, gdy nie było wiatru, ciut się dowiedziałam, głównie dzięki pierwszemu oficerowi, opiekunowi mojej wachty, ale co może ważniejsze, sprawdziłam samą siebie po raz kolejny i mam nadzieję, że każdy z nas zna siebie po tym rejsie lepiej. To co wynieśliśmy ze statku jest dla każdego z nas inne, ale myślę, że większość nie będzie żałować i mogę nawet zaryzykować stwierdzenie, że bardzo wielu będzie tymi, którzy wracają.

Marysia Kulak